

· A · D · A · M ·  
P R Z E C H R Z T A



CIEŃ

Rudnicki stanął u wylotu bramy, kilkakrotnie zacisnął pięści. Z oddali dochodziło senne nawoływanie przekupniów, ale wokół nie było żywej duszy. Fart.

Przechwycił nadgarstek prześladowczyni, wbił palce między ścięgna przedramienia. Krzyknęła z bólu i wypuściła z dłoni parasol. Błyskawicznie podciął jej nogi i przygotował się, aby schwytać padające ciało. Tyle że nieznajoma nieprawdopodobnym akrobatycznym manewrem odzyskała równowagę, zawirowała niczym tańczący derwisz, unikając ciosu alchemika, po czym bez wysiłku, ruchem tak szybkim, że niemal niewidocznym, powaliła go na ziemię. Upadek oszołomił Rudnickiego, ale mężczyzna niemal natychmiast sięgnął po rewolwer. Nie zdążył go wyciągnąć. Precyzyjne kopnięcie sparaliżowało mu rękę aż po bark, błysnęło ostrze, a na gardle poczuł damskie kolano. Nieznajoma wiedziała, gdzie nacisnąć. Tętnica szyjna i nerw trójdzielny, pomyślał alchemik na granicy utraty przytomności. Nieoczekiwanie ucisk zelżał, zniknęły czerwone kręgi przed oczyma.

*„Cień” – fragment*

· A · D · A · M ·  
P R Z E C H R Z T A

# CIEŃ

— CYKL MATERIA PRIMA —

CZEŚĆ I

ADEPT

CZEŚĆ II

NAMIESTNIK

CZEŚĆ III

CIEŃ

Ilustracje  
Przemysław Truściński

**fabryka słów®**

Lublin – Warszawa



# I

· R · O · Z · D · Z · I · A · Ł ·



Lampa przygasła, później zajaśniała nagle jak spadająca gwiazda, wreszcie zagrała wszystkimi kolorami tęczy. Rudnicki westchnął, podkreślił knot, po czym pochylił się nad chorym. Oślepiony kolejnym rozbłyskiem, przetarł oczy i gniewnym gestem odsunął buteleczkę z lekarstwem. Pomogło. Sama obecność *materia prima* wpływała na rzeczywistość często w zaskakujący sposób.

– Jak pan się czuje? – spytał neutralnym tonem.

Jakub Ochls nie należał do ulubionych pacjentów Rudnickiego, być może ze względu na zawód: *gospodin* Ochls raczył być lichwiarzem.

– Lepiej, doktorze – wychrypiał otyły starszy mężczyzna. – Lżej mi oddychać.

Alchemik skinął głową, przyłożył dwa palce do tętnicy szyjnej leżącego. Zwiotczała, lepka od potu skóra przypominała w dotyku nieświeżą słoninę.

– Dziewięćdziesiąt na minutę – oznajmił po chwili. – Ostatnio było sto dwadzieścia.

– Toż mówię, że jest poprawa! Choć za takie pieniądze spodziewałem się szybszych rezultatów – dodał zgryźliwie lichwiarz.

– W każdej chwili może pan zrezygnować z moich usług i poprosić o poradę innego lekarza – odparował chłodno Rudnicki.

Alchemik już dawno pogodził się z faktem, że poprawa zdrowia pacjenta przeważnie idzie w parze z narastającą niechęcią do regulowania zobowiązań finansowych.

– Coś pan taki w gorącej wodzie kąpany? – wychrypiał Ochls. – Zostawiłby mnie pan w połowie kuracji?

– Dziesięć rubli – oznajmił Rudnicki, ignorując pytanie. – Mikstura wystarczy na tydzień.

Lichwiarz usiadł z bolesnym stęknięciem i sięgnął do szuflady.

– Proszę – powiedział, rzucając na stół garść srebra. – Drogo, ale niech tam! Zdrowie ważniejsze niż pieniądze.

Rudnicki wyciągnął lupę i obejrzał jedną z monet: te fałszywe przeważnie odlewano, a nie bito, dlatego zdradzały je nieprecyzyjne detale, zdarzały się też niewielkie zagłębienia w miejscach, gdzie metal nie przylegał do formy.

– Nie oszukałbym pana – odezwał się Ochls z urazą w głosie.

– W ciągu ostatniego tygodnia dwukrotnie płacono mi fałszywymi rublami – odparł sucho alchemik. – Stąd moja ostrożność.

– Prawda, że namnożyło się teraz cwaniaków – przyznał lichwiarz. – Ale to nie dla mnie, ja wolę uczciwy zarobek.

Alchemik z trudem powstrzymał się od komentarza na temat definicji uczciwości – Ochls działał mu na nerwy – i pożegnawszy się z gospodarzem, ruszył do korytarza. Olbrzymi lokaj otworzył przed nim drzwi, które zarygłował natychmiast po wyjściu Rudnickiego. Najwyraźniej lichwiarz niespecjalnie wierzył w bliźnich.

Szklane klosze gazowych latarni płonęły w nocnym mroku niby miniaturowe słońca, konkurując z księżycem w pełni. Na widok pryncypała kuczer zeskoczył z kozła i wytrenowanym ruchem rozłożył składane schody. Rudnicki podziękował skinieniem i zajął miejsce w powozie.

– Do hotelu! – polecił.

Ekwipaż potoczył się po bruku, aby zatrzymać się po przejechaniu zaledwie kilku metrów. Ciche przekleństwo i szcęk odwodzonego kurka sugerowały, że przyczyzna niespodziewanego postoju wzbudziła podejrzliwość woźnicy.

– Co się dzieje?! – rzucił ostro alchemik.

– Wydaje się, że ma pan gościa – odparł tamten z wahaniem.

Rudnicki wysiadł z karety: kuczer trzymał na muszce ubraną na czarno kobietę. Twarz nieznanym skrywała woalka.

– Czym mogę pani służyć? – odezwał się uprzejmie Rudnicki.

– Rozmową. Być może poradą.

– Teraz? O tej porze? Dochodzi jedenasta w nocy!

– Gdyby sprawa nie była pilna, nie zawracałabym panu głowy. Czekam tu od godziny.

– Sama?! To niebezpieczna okolica.

– Nie jestem bezbronna, a niedaleko czeka mój powóz. Zanim dojedziemy do hotelu, zdążę przedstawić swój problem, oczywiście zapłacę za pański czas.

– No dobrze, proszę wsiadać – zdecydował po namyśle Rudnicki, powstrzymując dyskretnym gestem kuczera.

Ten był jednym z ludzi Ankwicza i nie tylko powoził, ale też dbał o bezpieczeństwo alchemika. Teraz zapewne zamierzał sprawdzić, czy nieznajoma nie ma przy sobie broni, jednak śmiertelnie znudzony leczeniem Ochlsa Rudnicki nie chciał zrażać sobie tajemniczej damy.

– Słucham – ponaglił, usadowiwszy się w berlince.

Kobieta uniosła woalkę, ale panujący w powozie półmrok nie pozwalał ocenić jej wieku, choć wyraźnie zarysowany owal twarzy świadczył, że raczej nie przekroczyła jeszcze czterdziestki.

– Klara Rossi – przedstawiła się zdawkowo.

Rudnicki uściśnął smukłą dłoń w koronkowej rękawiczce.

– Wspominała pani o jakimś problemie – przypomniał.

– Owszem – potwierdziła, przygryzając wargi. – Jedną z moich dziewcząt znaleziono na wysypisku śmieci martwą, a dwie inne zaginęły.

– Nie bardzo rozumiem – zmarszczył brwi alchemik. – Myślałem, że chodzi o kwestie zdrowotne...

– Niezupełnie. Raczej związane z magią.

– Skąd to przekonanie? Powinna pani raczej powiadomić władze.

– Powiadomiłam. I niech mi pan wierzy: policja robi, co może. Obawiam się jednak, że ta sprawa ich przerasta.

– Jeśli policja...





TR 17

– Alicję znaleziono bez głowy, z okultystycznymi znakami na ciele – przerwała szorstko. – Podobno coś takiego miało miejsce w czasie rosyjskiej okupacji i poinformowano mnie, że brał pan udział w śledztwie.

– Tylko jako konsultant – zastrzegł szybko Rudnicki.

– I jaki był finał tych konsultacji?

– O ile wiem, znaleziono mordercę.

– Co się z nim stało? Bo przecież nie było żadnego procesu. Czyżby uciekł z więzienia?

– Nie uciekł.

– A dokładniej?

– To skomplikowana sprawa, a ja nie znam wszystkich detali.

– Nie mógł wrócić?

– W żadnym wypadku!

– W takim razie ma naśladowców. Czy to też niemożliwe?

– Wręcz przeciwnie, bardzo prawdopodobne – odparł ponuro alchemik. – W jakim wieku były te dziewczęta? Kiedy zniknęły? Pozostawiono je bez opieki?

– Bez opieki? Przecież to nie dzieci.

– Myślałem, że prowadzi pani pensję dla panien albo sierociniec.

Usta kobiety drgnęły w nerwowym grymasie.

– Prowadzę, ale one wszystkie skończyły już szkołę. Nie czyta pan gazet, prawda? Tych z ploteczkami?

– Istotnie, ale co to ma do rzeczy?

– Słyszał pan nazwę „Złoty Pałac”? – spytała z niemal nieuchwytnym wyzwaniem w głosie.

Alchemik skrzywił się bezwiednie, „Złotym Pałacem” nazywano elitarny, dostępny tylko dla wybranych dom

publiczny. Fama głosiła, że związane z nim kobiety bardziej przypominają greckie hetery niż prostytutki, nie tylko ze względu na urodę i wykształcenie, ale też z uwagi na fakt, że same decydują, komu i na jakich warunkach ofiarować swoje towarzystwo.

– Jest pani pewna, że policja naprawdę stara się złapać mordercę? Przeważnie takie sprawy nie budzą specjalnego zainteresowania władz. Ot, jedna prostytutka więcej, jedna mniej.

– Alicja miała tylko jednego mężczyznę, a to więcej, niż mogą o sobie powiedzieć te bogobojne na starość poczwary zajmujące pierwsze ławki w kościele! I niech pan nie waży się nazywać jej prostytutką!

– Nie chciałem pani urazić, niemniej...

Powóz się zatrzymał, Rudnicki przez okno dojrzał fasadę „Azylu”.

– Dojechaliśmy – oznajmił.

– Nie zmieściłam się w czasie – westchnęła Klara Rossi. – Jeśli nie jest pan zainteresowany sprawą, zapłacę sto rubli, zgodnie z obietnicą. Jeżeli pozwoli mi pan dokończyć, pięćset.

Alchemik bez słowa pomógł kobiecie wysiąść z powozu, poprowadził do hotelowej recepcji. Ostre elektryczne światło pozwoliło mu dokonać bardziej precyzyjnej oceny wieku: pani Rossi miała pod pięćdziesiątkę, choć na pierwszy rzut oka jej twarz mogłaby należeć do trzydziestolatki. Atrakcyjnej trzydziestolatki. Tylko siateczka cienkich jak pajęcza nić zmarszczek w kącikach oczu i zaczynający tracić jędrność podbródek świadczyły, że jest starsza, niż na to wygląda.

– Co pan zdecydował? Możemy kontynuować?

– Oczywiście. Zaciekawiała mnie pani. Herbaty, a może kawy?

– Poproszę kawę.

Usiedli w rogu sali, przy ulubionym stoliku alchemika. Zdopingowani obecnością pracodawcy kelnerzy błyskawicznie zrealizowali zamówienie: w powietrze wleciał śnieżnobiały, wykrochmalony obrus, jak za skienieniem czarodziejkiej różdżki pojawiła się porcelanowa zastawa.

Klara Rossi wyraziła uznanie wdzięcznym gestem urękawiczonej dłoni.

– Znakomita obsługa!

– Staramy się – odparł Rudnicki. – Wracając do rzeczy...

– Musi pan zrozumieć jedno – powiedziała, mieszając kawę srebrną łyżeczką. – Mamy potężnych wrogów.

– A to z jakiego powodu?

– Co pan o nas wie?

– Nic konkretnego. – Wzruszył ramionami. – Obiły mi się o uszy jakieś plotki, to wszystko.

– Nie sprzedajemy się jak prostytutki – powiedziała z naciskiem. – Uciechy ciała to tylko dodatek, przede wszystkim oferujemy urodę, intelekt i jakkolwiek dziwnie by to zabrzmiało: wierność. Nasze dziewczęta znają po kilka języków, są odcytane i wykształcone, potrafią się znaleźć choćby i na księżęcym dworze.

– Mimo wszystko...

– Nikogo nie zmuszamy – kontynuowała uparcie. – Dziewczęta same wybierają swój los, później także partnerów. Na chwilę, sezon, kilka lat lub całe życie. Tak! Wiele z nich wychodzi za mąż – dodała, zauważywszy niedowierzający wzrok alchemika. – Cieszą się szacun-

kiem i poważaniem, a dzięki kontraktowi stają się za-  
możne, bywa, że bogate.

– Kontraktowi?

– Klient musi zabezpieczyć je finansowo. To podsta-  
wowy, choć nie jedyny warunek. Dlatego wielu chętnych  
odchodzi z kwitkiem.

– A konkretnie?

– Nie wymieniałabym wszystkich do rana – zapewni-  
ła. – Wszelkiej maści bufoni, hazardziści, lowelasi, syfili-  
tycy... Ci, bez względu na majątek, nie mogą mieć żadnej  
z nas. No i najważniejsze: klient musi spodobać się swojej  
wybrance. Omówienie detali zabrałoby zbyt wiele czasu,  
więc chwilowo wystarczy, jeśli uwierzy mi pan na słowo.

– Rozumiem, że te zaginione nie mogły odejść z włas-  
nej woli?

Przez twarz Klary Rossi przeleciała błyskawica gniewu,  
kobieta opanowała się wysiłkiem woli.

– Nie w taki sposób! Powtarzam, nikogo nie zmu-  
szamy! Tak, nie jesteśmy instytucją charytatywną, ale  
procent, jaki pobieramy z każdego kontraktu, zapewnia  
nam dostateczny zysk.

– Nam? Wiec nie tylko pani kieruje tym... przedsię-  
wzięciem?

– To nie ma nic do rzeczy – ucięła sucho. – Powiedz-  
my, że reprezentuję zarząd.

Rudnicki skosztował kawy, żeby zyskać na czasie.  
Problem był poważny: z jednej strony nie uśmiecha-  
ło mu się prowadzenie śledztwa w sprawie najbardziej  
nawet wyemancypowanych prostytutek, z drugiej, jeśli  
w grę wchodziła magia albo co gorsza, działania *theo-  
katáratos*, prędzej czy później władze poproszą go o po-

moc. Stosunki Rudnickiego z rządem Rzeczypospolitej Warszawskiej były dość skomplikowane, nie pełnił żadnej oficjalnej funkcji, ale ze względu na wcześniejsze zasługi traktowano go w sposób szczególny, zapewniając uprzywilejowaną pozycję w handlu *materia prima*, a także, jak przypuszczał, dyskretną ochronę. A wrogów mu nie brakowało... Jeżeli władze zwrócą się do niego, nie będzie mógł odmówić.

- No dobrze – powiedział wreszcie. – Zajmę się tym.
- Dziękuję! Ja...

Alchemik powstrzymał panią Rossi stanowczym gestem.

- Nie skończyłem. Przyjmę to zlecenie pod warunkiem, że wszelkie moje polecenia będą wykonywane natychmiast i bez dyskusji. Dosłownie! Jeśli każę pani stanąć na jednej nodze i kreślić rękoma ósemki, zrobi to pani bez wahania!

- Zgoda! – odparła pospiesznie. – Zgadzam się na wszystko.

- W takim razie zobaczymy się jutro. Gdzie panią odwieźć?

- Do pałacyku Lubomirskich, na Puławską.

Rudnicki przywołał stojącego opodal Majewskiego.

- Wiesz, co masz robić – powiedział.

Szczupły mężczyzna obrzucił Klarę Rossi taksującym spojrzeniem, po czym przytaknął.

- Będę musiał wziąć dwa powozy – zauważył. – I paru chłopaków.

- Weź – przyzwolił alchemik. – Do roboty!

Majewski skwitował polecenie nieartykułowanym chrząknięciem i pospieszył do wyjścia.

– Mój ekwipaż powinien tu być lada moment, nie ma potrzeby angażowania pańskich ludzi. Także nasza siedziba jest dobrze chroniona – zapewniła kobieta. – Ach, prawda! Niemal zapomniałam... Pańskie pieniądze.

Sięgnęła do torebki i położyła na stole czek bankowy na sumę pięciuset rubli. Rudnicki schował czek do portfela i pokręcił z rezygnacją głową. Najwyraźniej pani Rossi nie była wyjątkiem i jak wielu innych uważała, że mimo całego zamieszania z enklawami niewiele się zmieniło. Oczywiście, mógł powołać się na złożoną przed chwilą obietnicę i wymusić na rozmówczyni posłuszeństwo, ale pewne rzeczy lepiej było wyjaśnić pogładowo. Dla uniknięcia nieporozumień w przyszłości.

– Nie ma pani pojęcia o zagrożeniach związanych z magią czy *theokatáratos* – powiedział znużonym tonem. – Zapewne zabrała pani ze sobą jakiegoś ochroniarza?

– Dwóch. Czekają w powozie.

– Proszę ich zawołać – polecił.

Klara Rossi wstała bez słowa, po chwili wróciła w towarzystwie potężnie zbudowanych mężczyzn. Uniosła brwi, widząc na stole dorodnego arbuza.

– To deser? – spytała.

– Nie, wyobraźmy sobie, że to pani głowa – zaproponował alchemik. – A ja jestem złoczyńcą, którego powinno się powstrzymać.

– Moi ludzie zastrzeliliby pana, zanim zdążyłby pan wydobyć broń – zapewniła kobieta.

– Doprawdy? Przekonajmy się.

Rudnicki wypowiedział kilka sylab z taką szybkością, że zlały się w syk, w jego dłoni znikąd pojawił się

nóż. Krótki, oszczędny ruch i ostrze przecięło arbuza niemal na dwoje. Jeden z mężczyzn zdążył sięgnąć do kieszeni, drugi stał z wybałuszonymi oczyma, próbując zrozumieć, co się stało.

– Teraz pani pojmuje?

Klara Rossi przytaknęła gorliwie, w jej oczach pojawił się strach. Kiedy wrócił Majewski, posłusznie przyjęła podane jej ramię i pożegnawszy alchemika lekkim ukłonem, udała się do powozu.

Rudnicki dopił ledwo ciepłą już kawę, otarł serwetką zbryzgane sokiem z arbuza palce. Zegar w holu wybił północ, rozpoczął się nowy dzień. Alchemik przywołał gestem portiera.

– Budzenie na szóstą, śniadanie na wpół do siódmej – zadysponował.

– Wezwać maestra?

– Nie, na tym etapie nie będziemy jeszcze fatygować pana Ankwicza – zdecydował Rudnicki po chwili namysłu. – Ale poinformujcie go o sytuacji.

Idąc do swoich apartamentów, czuł lekką ekscytację podszytą – nie ma co ukrywać! – obawą. Od czasu zakończenia walk Warszawa przeżywała okres spokoju. Ba, można by nawet powiedzieć: rozkwitu. Żadnych walk, problemów z enklawą, poprawiła się też sytuacja gospodarcza niewielkiej republiki. Także interesy alchemika miały się znakomicie, zarówno hotel, jak i gildia działały niczym dobrze naoliwiony mechanizm. I przynosiły niebagatelny dochód, szczególnie zyskowe okazało się wytwarzanie *materia prima* metodą „ekstrakcji Rudnickiego”. Tyle że tym wszystkim sukcesom towarzyszyła wszechogarniająca nuda. Nowy dzień z pewnością nie



będzie nudny, doszedł do wniosku alchemik. Oby tylko nie okazał się nadmiernie interesujący...



Pałac sprawiał wrażenie dobrze utrzymanego: świeżo położone tynki, połyskujące po niedawnym deszczu dachówki i zadbane gazony świadczyły, że jego właścicielom nie brak pieniędzy, choć całość nie sprawiała bynajmniej dekadentckiego wrażenia. Także wewnątrz zaskoczyło Rudnickiego, zamiast tonących w luksusie buduarów ujrzał szkolne gabinety i spacerujące po korytarzach skromnie ubrane panienki.

– To wygląda jak pensja dla dziewcząt – wymamrotał zaskoczony.

– Trafił pan w sedno, szefie – odparł z uśmiechem Majewski. – To szkoła. Jedna z wielu połączonych z fundacją Znojemskich.

– Tych bankierów?

Majewski przytaknął.

– Uczą się tutaj przeważnie biedne dzieci, takie, których nie stać byłoby na czesne. Wiele z nich to sieroty.

– A gdzie są...

– Buduary? – dokończył Majewski. – Nie ma, wbrew doniesieniom prasy „Złoty Pałac” to bardziej instytucja niż burdel. Siedziałem pół nocy nad papierami, które udostępniła mi nasza klientka, stąd orientuję się mniej więcej w ich systemie.

– I jak on wygląda?

– W szkole uczą się dziewczęta od siedmiu do dwiętnastu lat. Czasem robi się wyjątki i przyjmuje ciut

młodsze, a szczególnie uzdolnione uczennice kończą naukę nieco później.

– Szczególnie uzdolnione?

– Bez podtekstów, mają po prostu dodatkowe zajęcia. Wyboru, o którym pan myśli, dokonują już dorosłe, dziewiętnastoletnie panienki. A i to nie wszystkie, dla większości to zwykła szkoła.

– Nie rozumiem.

– Kurtyzanami mogą zostać tylko dziewczęta obdarzone nieprzeciętną inteligencją i urodą. Innym fundacja stara się znaleźć pracę.

– Bardzo to szlachetne – zauważył Rudnicki z przekąsem. – Rozumiem, że nikt nie wywiera nacisku nawet na te najładniejsze?

Majewski spojrzał na niego spod oka, alchemik odniósł wrażenie, że podwładny ostatkiem sił powstrzymuje się przed niezbyt uprzejmą ripostą.

– No co tam? – burknął. – Proszę mówić śmiało. Zanim zabiorę się za śledztwo, muszę mieć pewność, że te dziewczuchy nie uciekły z własnej woli.

– Nie uciekły! – zapewnił z naciskiem Majewski. – Zastanawiał się pan kiedyś, jaką swobodę mają panienki z dobrych domów? Czy ktoś pozwala im wybrać sobie męża? A kontrakt ślubny? Rodzice często sprzedają własne dziecko niczym kłacz na targu, żeby spłacić długi albo polepszyć swój status. Tu przynajmniej wszystko jest jasne, a najwięcej korzyści odnosi sama dziewczyna. No i to ona decyduje, realizując swoje, a nie cudze ambicje. Tak! – dodał, widząc minę pryncypała. – Wszystkie czy niemal wszystkie wychowanki tej szkoły chcą dobrze wyjść za mąż, a jeśli tylko mają szansę, dostać się na salony.

– To chyba niemożliwe. Sieroty bez grosza przy duszy?

– Dlaczego nie? Przeglądałem księgi rachunkowe. Te prawdziwe, nieoficjalne. Spory procent kosztów to kupno tytułów arystokratycznych. Na świecie roi się od ubogich władców, bardziej niż chętnych do podreperowania budżetu w zamian za autentyczne, choć niewiele znaczące tytuły – dodał Majewski, wzruszając ramionami. – Oczywiście w takich wypadkach kontrakt dziewczyny musi zrekompensować te koszty, ale wielcy tego świata płacą bez mrugnięcia okiem, najwyraźniej idealne żony czy kochanki są w cenie.

Rudnicki skrzywił się, jakby rozgryzł cytrynę. Cała sprawa coraz mniej mu się podobała, z relacji Majewskiego wynikało, że istotnie doszło do porwania. Ostatnie, czego było trzeba alchemikowi, to konfrontacja z działającymi nielegalnie magami czy *theokatáratos*, jednak wydawało się, że los nie pozostawia mu wyboru. Jeśli teraz odpuści, za miesiąc czy dwa będzie musiał pertraktować nie z madame Rossi, ale dużo ważniejszymi personami, być może mając na sumieniu śmierć kolejnych dziewcząt.

– No dobrze – zdecydował. – Porozmawiajmy z panią Rossi o konkretach.

– Tędy, szefie – wskazał Majewski.

Wspinając się po schodach, alchemik zwrócił uwagę na pewność, z jaką jego towarzysz porusza się po budynku, który ujrzał kilka godzin wcześniej. Najwyraźniej Majewski doskonale zapamiętał, gdzie znajduje się gabinet dyrektorki szkoły.



Pomieszczenie umeblowano wykwintnie i ze smakiem: podłogę pokrywał ręcznie tkany dywan z Aubusson, jedwabne tapety na ścianach stanowiły tło dla zdjęć przedstawiających uśmiechnięte uczennice, a na stoliku pod oknem pysznił się bukiet róż w majolikowym wazonie. Jedyny dysonans stanowiła zasłana dokumentami sekrettera. Podkrążone oczy i ubrudzone atramentem dłonie Klary Rossi sugerowały, że dyrektorka spędziła noc w gabinecie.

– Próbowałam coś znaleźć – powiedziała na widok Rudnickiego. – Jakąś prawidłowość w tym całym szaleństwie. Bezskutecznie...

– Potrzebujemy wszelkich informacji o pani podopiecznych – powiedział alchemik. – Łącznie z tymi, których wołałaby pani nie ujawniać.

Kobieta wskazała mu fotel, nieświadomym gestem szarpnęła rękaw sukni.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odparła, wzięwszy głęboki oddech. – Nie mam zamiaru niczego ukrywać, życie dziewcząt jest najważniejsze, jednak liczę, że nie zdradzi pan naszych sekretów.

– Ma pani moje słowo – obiecał alchemik. – Zawsze gram uczciwie wobec ludzi, którzy odwzajemniają mi się tym samym.

Zrezygnowany wzrok dyrektorki dowodził, że zrozumiała aluzję.

– Nie mam nic do ukrycia – powtórzyła. – Proszę pytać.

– Jak nazywała się ta zamordowana dziewczyna?

– Alicja Zamoyska.

Rudnicki zmierzył ją ciężkim spojrzeniem, Klara Rossi przez chwilę wytrzymała jego wzrok, wreszcie spuściła głowę.

– No dobrze – wymamrotała. – Urodziła się jako Helena Tracz. Naprawdę nie sądzę, żeby to miało jakiegokolwiek...

– Pozwoli pani, że ja to ocenię! – warknął alchemik, wchodząc jej w słowo. – A te dwie pozostałe?

– Maria Gronowska i Natalia Wodzińska. Dopiero ukończyły szkołę, więc nie zmieniliśmy im jeszcze nazwisk. Zresztą Natalia pochodzi z solidnej szlacheckiej rodziny, spokrewnionej z arystokracją. Tak, takie też czasem do nas trafiają! – dodała gniewnie. – Po śmierci rodziców krewni przejęli jej majątek, a ona sama wyłądownała na bruku. Wyciągnęłam ją z sierocińca. Proszę, oto ich fotografie.

Dziewczyny były wyjątkowo ładne – nic dziwnego, biorąc pod uwagę ich plany życiowe – i absolutnie nie wyglądały na wystraszone czy zmuszane do czegokolwiek. Obie wytwornie ubrane, w sukniach uwydatniających kuszące krągłości, ciemnowłose, roześmiane, z figlarnymi ognikami w oczach, sprawiały wrażenie sióstr.

– No dobrze, a jak wyglądała sprawa ich... – Rudnicki zawahał się na moment, nie wiedząc, jak sformułować pytanie.

– Alicja podpisała swój pierwszy kontrakt – odparła pospiesznie dyrektorka. – Na kwartał. Została kochanką hrabiego Alfreda Kościelskiego.

– Jak im się układało?

– Nie wspominała o żadnych kłopotach. Była zadowolona, choć myślę, że traktowała tę znajomość wyłącznie profesjonalnie.

– To znaczy?

– Dziewczęta często zakochują się w swoim pierwszym kliencie – wyjaśniła Klara Rossi. – Wiele takich

związków kończy się małżeństwem, ale wydaje mi się, że Kościelski nieco rozczarował Alicję.

– Czy to rozczarowanie mogło przeszkodzić w wypełnieniu kontraktu?

– Nie. Taki dokument daje gwarancję obu stronom i zerwać go można tylko z wyjątkowo ważnych i ściśle określonych przyczyn.

– Na przykład? – zainteresował się Majewski.

– Jak już mówiłam wcześniej, przeprowadzamy coś w rodzaju selekcji, ale czasem zdarza się, że przez sito przejdzie ktoś, kto nie powinien. Wtedy i tylko wtedy można zerwać kontrakt.

– I klienci nie protestują?

– Raczej nie – stwierdziła chłodno kobieta. – Zdają sobie sprawę z możliwych konsekwencji.

– Arystokraci? – powiedział z niedowierzaniem Rudnicki. – Mężczyźni z wyższych sfer?

– Owszem. Swego czasu jedna z moich dziewcząt zawarła umowę z osobnikiem, który okazał się sadystą. Rozumieją panowie, nie chodziło o parę klapsów na gołą pupę, tylko niczym niekontrolowaną agresję. W ataku szału wybił jej zęby, połamał żebra i ręce.

– Zawiadomiliście policję?

– Nie. Wolimy sami załatwiać takie sprawy. Zerwaliśmy kontrakt i zażądaliśmy odszkodowania. Klient odmówił.

– Co pani zrobiła? – zainteresował się alchemik.

Uśmiech Klary Rossi przypominał rozbłysk światła na stalowej klindze, równie zimny i budzący dreszcze.

– Ja? Nic. Za to nasz krnąbrny dłużnik zachorował nagle i zmarł po kilku dniach. Podejrzewano, że zjadł

nieświeże ostrygi. Kto wie? Może to i prawda? Zupełnie bez związku dodam, że właściciel restauracji, w której stołował się pan radca, miał młodą, piękną i wykształconą żonę, podobnie jak jego lekarz, a nawet prowadzący śledztwo policjant...

– Dobra robota! – powiedział z uznaniem Majewski.

Kobieta podziękowała skinieniem głowy, do jej oczu powróciło ciepło.

– Ciało Alicji znaleziono trzy dni temu, Maria i Natalia zniknęły przedwczoraj – kontynuowała. – Początkowo nie łączyłam tych dwóch faktów, jednak po rozmowie z pracownikami nie miałam już wątpliwości, że stało się coś złego: dziewczęta mieszkały we wspólnym pokoju na drugim piętrze i żadna z nich nie opuściła budynku. Przy drzwiach dzień i noc czuwa portier – dodała tytułem wyjaśnienia.

– Ma pani na myśli główne wejście – wtrącił Rudnicki.

– Tak. Oczywiście są i inne, ale zamknięte, a klucze ma tylko moja pomocnica.

– A okno? Ile one miały... mają lat? Dziewiętnaście? Czy nie mogłyby wysliznąć się przez okno? Były sprawne fizycznie? Mogły użyć liny?

Klara Rossi westchnęła ciężko i obrzuciła alchemika zniesmaczonym spojrzeniem.

– Przykładamy dużą wagę do sprawności fizycznej, ale nie było żadnego powodu, aby dziewczęta zjeżdżały po linie jak jakieś cyrkówki, zamiast zejść po schodach! Zresztą nie tego ich uczymy.

– A czego? – spytał alchemik.

Nieoczekiwanie dyrektorka splonęła krwistym rumieńcem.

– To nie ma większego znaczenia. Wracając do sprawy: zarówno Maria, jak i Natalia w zasadzie skończyły już szkołę, obecnie pomagały nauczycielkom, a oprócz tego uczestniczyły w zajęciach... – Wykonała bezradny gest. – Jednym słowem, mogły wychodzić i wracać o dowolnej porze.

– Rozumiem, że należały do „Złotego Pałacu”?

– Przygotowywały się do tego – sprostowała Klara Rossi. – Nie podpisały jeszcze żadnego kontraktu.

– Wracając do ćwiczeń...

Rudnicki nie dokończył, trącony łokciem przez podwładnego. Odchrząknął zmieszany, Majewski wykonał gest znaczący tyle co „nie teraz”.

– No dobrze – mruknął alchemik. – Mniejsza z tym. Rozmawiała pani z Kościelskim? Wie coś o zaginięciu kochanki?

– Krótko. Byłam zajęta formalnościami: składałam zeznania, musiałam zidentyfikować zwłoki, a później zniknęły Natalia i Maria. Kościelski twierdzi, że ostatni raz widział Alicję tydzień przed tą tragedią.

– To możliwe? A co z kontraktem?

– Bywa, że klienci potrzebują towarzystwa pięknych kobiet tylko w określonych okolicznościach, na przykład z okazji jakiegoś balu czy spotkania towarzyskiego. Często wręcz nie życzą sobie, aby dziewczęta przebywały z nimi na co dzień.

– Nie rozumiem...

Klara Rossi zabębniła palcami o blat.

– Niektórzy z nich mają specyficzne upodobania, na przykład wolą mężczyzn niż kobiety – wymamrotała. – Wówczas rola dziewcząt polega jedynie na odwracaniu



uwagi od ich prawdziwych skłonności. Inni z kolei wdają się w zakazane i niebezpieczne dla siebie romanse, niebezpieczne w dosłownym znaczeniu, na przykład z mężatkami. Im także potrzebna jest pomoc z naszej strony. Czasem to kwestia kondycji... Konkludując: my nie osądzamy, dostosowujemy się do życzeń klientów. I tak. Związek z Kościelskim nie wyglądał na namiętny romans, choć nie znam szczegółów, nie rozmawiamy bez potrzeby o tajemnicach alkowy.

– Podejrzuwa go pani? – zapytał Majewski.

Kobieta nie odpowiedziała od razu, podparła dłonią głowę, zapatrzyła się w dal.

– Raczej nie – odparła z wahaniem. – Nie wyczułam w nim nie tylko gwałtowności, ale nawet pasji. To człowiek letnich uczuć. Oczywiście nie jestem nieomylna, ale rzadko kiedy zawodzi mnie intuicja.

– Mogłaby pani podać nam adres hrabiego?

– Oczywiście. Kościelski utrzymuje pied-à-terre na Krakowskim Przedmieściu. Będzie mnie pan informował o postępach śledztwa?

– W miarę możliwości – obiecał alchemik.

Dyrektorka towarzyszyła im do wyjścia, jakby czerpała pociechę z ich obecności. Rudnicki czuł na sobie jej wzrok, dopóki nie odjechali.



Lokaj hrabiego Kościelskiego, młody, niespełna trzydziestoletni mężczyzna o aroganckim wyrazie twarzy, z wyraźnym lekceważeniem umieścił na tacy wizytówkę Rudnickiego, po czym zniknął za drzwiami, zostawia-

jąc gościa w przedpokoju. Alchemik zacisnął usta, najwyraźniej ani jego tytuł, ani stanowisko mistrza gildii nie zrobiły na służącym wrażenia. Mijały minuty, wreszcie zniecierpliwiony Rudnicki ruszył do wyjścia. Zanim dotknął klamki, z głębi mieszkania dał się słyszeć gniewny okrzyk połączony z głośnym plaśnięciem i do przedpokoju wpadł lokaj. Tym razem zgięty wpół, z przerażeniem w oczach. Zaczerwieniony policzek świadczył, że udzielono mu reprimendy, nie bawiąc się w subtelności.

– Pan hrabia prosi – oznajmił przymilnie.

Hrabia Alfred Kościelski przyjął alchemika w domowym garniturze z chesuczy i przeprosiwszy za zachowanie służącego, natychmiast zaprosił do stołu.

Wysoki, smukły, z wypielęgowanym wąsikiem i uśmiechem na zmysłowych ustach, mógł podobać się kobietom. Gładka cera, regularne rysy i bujne, zaczesane do tyłu włosy czyniły go co najmniej przystojnym, a oszczędne, precyzyjne ruchy zdradzały doświadczonego szermierza. Alchemik ocenił jego wiek na nie więcej niż czterdzieści lat.

– Czym mogę służyć, ekscelencjo? – zapytał gospodarz, kiedy tylko pokojówka podała herbatę.

– Informacją – odparł zwięźle Rudnicki.

– Chodzi o biedną Alę? – domyślił się Kościelski. – Cóż, nie byliśmy ze sobą zbyt blisko, wykupiłem jej kontrakt zaledwie miesiąc temu.

– Co pan może o niej powiedzieć?

– Ładna, miła, inteligentna – odparł obojętnie Kościelski. – Z początku pełna entuzjazmu, później stała się bardziej chłodna, tak jakby coś ją absorbowowało. Coś poza kontraktem – podkreślił. – Zaczęliśmy rzadziej

się spotykać, ostatni raz widziałem ją kilka dni przed śmiercią.

– A co z jej zachowaniem? Zauważył pan jakieś niecodzienne emocje, lęki?

– Nie, nic poza tym, co opisałem.

– Do kogo zwróciłaby się po pomoc w przypadku kłopotów?

– Na pewno nie do mnie – stwierdził zdecydowanie hrabia. – Jak już mówiłem, nasze stosunki były czysto profesjonalne. Z początku miałem nadzieję na coś więcej, ale po jakichś dwóch tygodniach Alicja sama narzuciła pewien dystans, tak jakby chciała dać do zrozumienia, że nie interesuje jej nic poza formalnym wypełnieniem kontraktu, więc... – Rozłożył wymownie ręce.

– Dlaczego skorzystał pan z usług „Złotego Pałacu”? Bo chyba nie może pan narzekać na brak powodzenia u płci pięknej?

W oczach Kościelskiego pojawiła się irytacja, po chwili zastąpiło ją zniecierpliwienie.

– Nie pytam z cichej ciekawości – zastrzegł się alchemik. – Wyjaśnienie tej sprawy leży także i w pańskim interesie.

– A to dlaczego? – uniósł brwi hrabia.

– Wiadomo panu, w jaki sposób zginęła Alicja?

– Nie, niedokładnie. Pani Rossi wspomniała mi tylko, że jakiś zwyrodnialec pozbawił ją głowy.

– Może i zwyrodnialec, ale przede wszystkim mag, a kto wie czy nie jeden z Przeklętych. Na jej ciele znaleziono okultystyczne symbole. Trudno w tym momencie zakładać, że zainteresowanie mordercy ograniczy się tylko do młodych kobiet.

Twarz Kościelskiego skamieniała, zamieniając się w pokerową maskę, ale lekkie, ledwie widoczne drgnienie prawej dłoni, jakby hrabia musiał pohamować odruch sięgnięcia po broń, uświadomiło Rudnickiemu, że jego rozmówca jest zaniepokojony.

– Myślę, że jakby co, dam sobie radę.

– Zapewne ma pan rację, hrabio – zgodził się alchemik natychmiast. – Pan najlepiej zna własne możliwości. W takim razie dziękuję za poświęcony mi czas i pozwolę sobie...

– No dobrze! – przerwał mu Kościelski. – Niech będzie! W końcu to żadna tajemnica. Być może moje motywy wydadzą się panu płytkie, jednak nie ma w nich niczego nagannego.

– Nie mam zamiaru pana osądzać – zapewnił Rudnicki. – Bogiem a prawdą, nie mam i powodu. Zależy mi tylko na jak najszybszym wyjaśnieniu tej zbrodni i uniknięciu kolejnych morderstw.

Kościelski przepłukał usta łykiem herbaty, po czym z niechęcią odsunął filiżankę.

– Wystygła – mruknął. – Trudno dziś o dobrą służbę. Wracając do rzeczy: istotnie, nie mam powodu skarżyć się na brak zainteresowania ze strony pań, jednak podpisanie kontraktu z dziewczyną ze „Złotego Pałacu” to rodzaj nobilitacji. Wie pan, że oni odrzucają część chętnych?

Alchemik przytaknął ruchem głowy.

– Każdy, kto został zaakceptowany, otrzymuje coś takiego. – Hrabia zademonstrował dewizkę od zegarka.

Dopiero po chwili Rudnicki zauważył, że do ciężkiego złotego łańcuszka przymocowano wisiorek w kształcie kupidyna.

– To unikatowa rzecz, nie do podrobienia – zapewnił Kościelski.

– Efektowny drobiazg – przyznał alchemik.

– Jego wartość leży nie w wyglądzie, a raczej w znaczeniu, jakie mu się przypisuje. To coś w rodzaju przepustki, a zarazem świadectwa moralności – kontynuował hrabia. – Wszyscy wiedzą, że „Złoty Pałac” bezwzględnie odrzuca osoby z nieakceptowanymi społecznie aberracjami, a ściślej mówiąc, z większością takich aberracji, chorych wenerycznie czy wreszcie nieposiadających odpowiedniego majątku. Ten wisiołek to klucz otwierający wiele drzwi, zarówno jeśli chodzi o przelotne romanse, jak i stałe związki, nie wyłączając małżeństwa. Oto powód, dla którego podpisałem kontrakt – zakończył.

– Dziękuję panu za szczerość. Co prawda nie widzę bezpośredniego zagrożenia, jednak doradzałbym ostrożność – powiedział Rudnicki, wstając od stołu.

Hrabia przytaknął i pożegnał alchemika uściskiem ręki. Lokaj oczekiwał u drzwi w pozycji na baczność, z kapeluszem i laską alchemika. Najwyraźniej pan hrabia oświecił wiernego sługę, z kim ma do czynienia, doszedł do wniosku Rudnicki.

Majewski stał obok powozu, paląc papierosa, ciepły sierpniowy wiatr przyniósł zapach kwiatów z pobliskiego ogrodu.

– Co ustaliłeś? – spytał Rudnicki.

– Sąsiedzi widzieli ją kilkakrotnie, raz czy dwa z Kościelskim. Wyglądała na zadowoloną.

Alchemik pokiwał głową.

– Tak też myślałem – mruknął. – To raczej nie hrabia.

– Raczej?

– Na tym etapie nie można nikogo wykluczyć, tym bardziej że nie mam żadnego doświadczenia jako śledczy, ale wydaje mi się, że on się boi. Nie tak, jakby miał coś na sumieniu, ale jak człowiek, któremu zmarł ktoś z bliskiego otoczenia i który spodziewa się kłopotów. Trochę go nastraszyłem – przyznał.

– Jak on wygląda? Taki brzydki, że musi korzystać z usług kurtyzan?

– Wręcz przeciwnie. To nieco bardziej skomplikowane. Opowiem ci w drodze.

Rudnicki wsiadł do karety, zastukał laską w sufit, dając znać kuczerowi, aby wracał do hotelu, po czym zrelacjonował podwładnemu rozmowę z Kościelskim.

– Wydaje mi się, że gdzieś widziałem taki wisiołek z kupidyńcem – stwierdził Majewski, marszcząc czoło.

– Nieważne! – machnął ręką alchemik. – Teraz mamy większe problemy, ustalaniem tożsamości klientów „Złego Pałacu” zajmiemy się kiedy indziej. Mówiłeś, że masz znajomego w policji?

– Tak. To przyjaciel z dzieciństwa. Jest teraz komisarzem, a może nadkomisarzem? Nie orientuję się w tych nowych rangach.

– Umów mnie z nim jak najszybciej.

– Zrobi się, szefie.

– Dlaczego przerwałeś mi, kiedy spytałem o te ćwiczenia?

– Jak by to panu powiedzieć...

– Słucham – ponaglił alchemik.

– Studiowałem dokumenty tej fundacji przez pół nocy, więc w pewnym momencie pani Rossi zaproponowała mi kawę. Kiedy wyszła, pomyślałem, że rozejrzę

się trochę po gabinecie, w końcu sprawa jest poważna – dodał tytułem usprawiedliwienia. – Nie miałem wiele czasu, góra kwadrans, ale udało mi się otworzyć sejf i...

– Jaki sejf? – przerwał mu Rudnicki. – Dokładnie przyjrzałem się gabinetowi i niczego takiego nie zauważyłem.

– Podłogowy, pod dywanem – wyjaśnił Majewski. – To teraz ostatni krzyk mody. Ale mniejsza z tym, pani Rossi trzyma tam kilkanaście paszportów i podręczniki.

– Te paszporty są fałszywe?

– Wręcz przeciwnie, prawdziwe. Myślę, że stanowią własność dziewcząt, którym zmieniono tożsamość. Ciekawsze są podręczniki.

– Po czorta trzymać coś takiego w sejfie?

– Musiałby pan je widzieć, szefie. Wszystkie dotyczą ostatniego etapu nauki, tego dla wybranych.

– A konkretnie?

– Specyficzne pozycje jak w Kamasutrze, no i ćwiczenia.

– Co za Kamasutra?

– To hinduski traktat o tematyce erotycznej – wyjaśnił Majewski z szelmowskim błyskiem w oku. – Anglicy przetłumaczyli go już kilkadziesiąt lat temu i od tej pory jest dość popularny w pewnych kręgach. Słyszałem, że również nasi przymierzali się do przekładu, ale wybuchła wojna i wydawcy stracili zainteresowanie tym pomysłem. Ćwiczenia przypominają trochę te dla baletnic czy gimnastyczek cyrkowych, choć niektóre opracowano wyłącznie dla wyrobienia profesjonalnych nawyków. Wołałem, żeby nie naciskał pan dyrektorki w tej kwestii, bo była wyraźnie zakłopotana pytaniem.

– Ciekawe – wymamrotał Rudnicki. – Muszę koniecznie przeczytać ten traktat, zawarte w nim pozycje mogą nam dać pewne pojęcie o sprawności fizycznej uczennic madame Rossi.

Mężczyźni spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem.







Przechrta pod otoczką mistyki i alchemii z tłem historii alternatywnej serwuje czytelnikowi dawkę pierwszorzędnej akcji.

[paradoks.net.pl](http://paradoks.net.pl)

Wartka akcja, dobrze zarysowani bohaterowie, a także świetnie oddane realia epoki wzbogacone o dobrze wpasowane w fabułę wątki magiczne i nadprzyrodzone to niewątpliwe atuty tej książki.

[polter.pl](http://polter.pl)

Tak, ponieważ pod względem światotwórczym powieść jest obłędnie wykoncypowana, znakomite pomysły kreują tu bowiem wizję rzeczywistości jako kolażu historii i fikcji fantastycznej. Tak, ponieważ alchemia i technologia idą ze sobą w parze, splatając się w cudowny duet tworzący rewelacyjne tło dla rozmaitych wydarzeń.

[creatiofantastica.com](http://creatiofantastica.com)

A · D · A · M ·

# PRZECHRZTA CIEŃ

Rzeczpospolita Warszawska stara się utrzymać neutralność, balansując między dwiema potęgami: Niemcami i Rosją, jednak młoda republika ma coraz więcej problemów. W enklawach pojawiają bezpośredni wysłannicy Szepczących, a słowo mocy, które dało Polakom zwycięstwo, jest już znane wszystkim stronom konfliktu. Samarin i Rudnicki zostają wciągnięci w wir politycznych i towarzyskich intryg, a to nie jedyne ani nawet nie największe niebezpieczeństwo. Ktoś poprzysiągł ich zabić. I wszystkich takich jak oni.

◆ ◆ ◆

Do tego zarówno w Berlinie, jak i w Sankt Petersburgu narasta przekonanie, że pora zaatakować. Polska armia szykuje się do ostatecznego starcia, jednak dowództwo zdaje sobie sprawę, że żadna strategia nie pozwoli wygrać z wrogiem mającym dwudziestokrotną przewagę liczebną. Tylko czas pokaże, kto umrze, a kto przeżyje...



fabryka słów  
WYDAWNICTWA

[fabrykaslow.com.pl](http://fabrykaslow.com.pl)



Polub nas na  
**facebooku**

Wylączny  
dystrybutor

